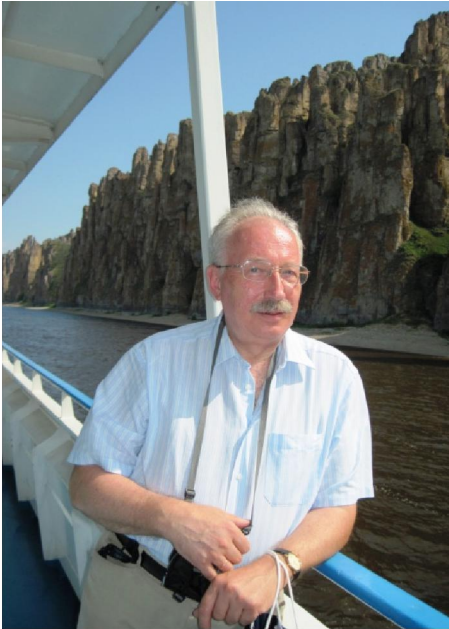


Jan Kieniewicz
OD WISŁY DO LENY*

27 marca 2010

Postanowiłem pisać wam o tożsamości. Na razie nie wiem jak podejść do kwestii jej dryfowania. Zacznę od siebie. Od własnego doświadczenia z tożsamością. Jak wiecie, jestem przekonany, że budowanie relacji z Innymi wymaga świadomości własnej odrębności. Zwłaszcza wtedy, gdy różnią nas przynależności cywilizacyjne. Tym bardziej, gdy łączą nas więzi przyjaźni. Jednym słowem, potrzeba pewności siebie, by *spotkać* się z Obcym. Używam pojęcia *spotkanie* zgodnie z nomenklaturą wypracowaną we „Wprowadzeniu do historii cywilizacji Wschodu i Zachodu”. Ta pewność własnej identyfikacji pozwala nam na dostrzeganie Innego i zmniejsza obawy przed obcością.



Znaczenie przypisane tożsamości nie oznacza egocentryzmu, skupienia uwagi na sobie i podporządkowania sobie otoczenia. Nie jestem Gombrowiczem. Doskonale jednak rozumiem stojący przed nim problem. To Ja pozwala zidentyfikować otoczenie, określić okoliczności towarzyszące relacjom z Innymi. Ja uczłowiecza świat, o ile nie jest wbiciem się w pychę. Z tym może być kłopot, ponieważ mój własny

świat jest bardzo mały a ja przez to dość osobny. Ale my mamy zbudować program badawczy, to zadanie skromniejsze od stworzenia świata.

Jestem znad Wisły, choć mój świat wyobrażony istnieje gdzieś nad Prypecią dawno temu. Ale piszę znad Leny, choć mój pobyt tam trwał krócej niż mgnienie oka. Patrzymy na Lenskije Stołby, na świat całkowicie obcy dla przybysza z nizin Europy Wschodniej. Tu na brzegu Leny jestem wyrwany z moich okoliczności. Tym bardziej ważna jest dla mnie identyfikacja. Moja zdolność do istnienia.

Patrzę na ten świat z pokładu „Demiana Biednego” wiozącego międzynarodową konferencję „Circumpolar Civilization In the World Museums: Yesterday, Today, Tomorrow”.

Jest gorące jakuckie lato roku 2009. Dokładnie czwartek 30 lipca. To są okoliczności ważne dla mojej refleksji. W konwencji konferencji naukowej zagadnienie tożsamości schodzi na plan dalszy. Wszyscy uczestniczymy w konwencjonalnym wydarzeniu o znanych regułach. Oznacza to w istocie izolację od otaczającej



rzeczywistości. Możliwość postawienia pytania o tożsamość powstaje dopiero wtedy, gdy wyłamujemy się z konwencji.

28 marca 2010

Możliwość rozłamania konwencji konferencyjnej pojawia się z chwilą, gdy docieramy do rezerwatu Lenskije Stołby. Mamy w programie wycieczkę na dość stromo wznoszącą się ścianę skalną. Trasa jest wytyczona, wygodna. Trochę się zadyszałem i nieźle zmachałem podczas godzinnej wspinaczki, ale to nie ma nic do rzeczy. Ma natomiast towarzysząca temu refleksja. Patrząc z tarasu widokowego na Lenę widziałem statek ciągnący barkę w dół rzeki. Gdybym płynął tędy przed siedemdziesięciu laty, nie podziwiałbym cudu natury. Z setkami innych zeków tkwiłbym stłoczony pod pokładem *barży* całkowicie nieświadomy otoczenia i zgoła na nie obojętny. Mój status zrównywałby różnice kulturowe a zarazem pozbawiał tożsamości. Byłbym częścią systemu izolującego mnie od rzeczywistości. Moja tożsamość byłaby naznaczona walką o przetrwanie, w której zresztą nie miałbym większych szans. Myśl o tej niezliczonej rzeszy niewolników, którzy tędy i innymi szlakami zdążali w głąb Syberii, towarzyszy mi natrętnie. Dzieje się tak, ponieważ jako uczestnik konferencji nie musiałem się troszczyć o tożsamość. Tak jak wszyscy miałem zawieszoną na szyi plakietkę informującą o mej tożsamości. Dopiero wśród skał, patrząc na ten niezwykle świat trwający od milionów lat, mogło do mnie wrócić pytanie o to kim jestem?



Byłem w Jakucji dobrowolnie i obracałem się kręgu życzliwych i przyjaciół. Mieliśmy do rozwiązania ważny problem identyfikacji wspólnot ludzkich zamieszkujących strefę wiecznej zmarzliny. Musieliśmy się tym zajmować w ramach konwencji obowiązujących w trakcie konferencji naukowych. Wydawało mi się jednak, że ze względu na przeszłość, której mi los oszczędził, oraz z szacunku dla ludzi, którzy mnie zaprosili, muszę wyjść z ram konwencji. Miałem taki zamiar, ale mógł on pozostać niezrealizowany z powodu naturalnych przeszkód w komunikacji. Nasze zadanie wymagało dialogu. Byliśmy chętni i pełni dobrej woli. Obawiałem się jednak, że nie mamy dużo większych możliwości niż ci nieszczęśni nasi poprzednicy w żegludze Leną.

Problem ten był zapewne różnie rozwiązywany przez uczestników. Mnie jednak wydawało się, że właśnie tu i teraz muszę dokonać bardzo jednoznacznego określenia się. Tym bardziej, że zgodnie z życzeniem Uljany Vinokurowej miałem przejść trzydniowy proces przekształcenia się w Jakuta. Rozumiałem to, jako zaproszenie do wnikięcia w świat miejscowy, wnikięcia naturalnie powierzchownego, sentymentalnego. Chcę rozumieć to zaproszenie niebywale serio, ale właśnie w ten sposób, że uzyskuję zaproszenie na spotkanie. Nie ma mowy o przekraczaniu granic. Wyłamując się z konwencji, powracając do własnej tożsamości, nawet nie usiłuję się zbliżyć do granicy dzielącej mnie od świata ludzi Saha.

Proces identyfikacji i uświadomienie równocześnie przyzwoleń i ograniczeń miało miejsce podczas wspomnianej wycieczki. Było to wydarzenie turystyczne, całkowicie skonwencjonalizowane. Także obrzęd szamański mający nam zjednać przychylność duchów tych skał wydawał się należeć do standardu serwowanego turystom. Nie uczestniczyłem w kole, uważałem to za niestosowne. Szamanizm jest istotną częścią dziedzictwa Saha, czy

szerzej tradycji ludów syberyjskich, ale trudno mi się zorientować, kiedy mam do czynienia z rzeczami poważnymi, a kiedy tylko z folklorem. Nie uchylałem się od przyjęcia na czoło płamki z popiołu spalonego podczas szamańskiego obrzędu. Byłoby to jakieś odcinanie się. Gdzie zatem biegnie granica między sferą sacrum a sferą grzeczności?

Na brzegu Leny układałem z Uljaną niewielki krąg z mącznych placuszków mający mi zapewnić przychylność duchów rzeki Leny. Czuję się do tej ceremonii zaproszony, jako przyjaciel do czynności domowej, respektuję więc obyczaj. Mimo to nie zdecyduję się na kąpiel. Dzielne jakuckie dziewczęta śmiało rzucają się w lodowatą wodę. W zachodzącym słońcu widok ten sprawiał wrażenie całkiem swojskie. Nie poszedłem ich śladem nie tylko z rozsądku. Chyba także z obawy przekroczenia jakiejś granicy.

Znad Wisły dotarłem nad Lenę. Niby nic z tego nie wynika. To jednak skały Lenskich Stołbów uświadamiają mi, że uzyskane zaproszenie zobowiązuje. Przede wszystkim do tego, od czego zacząłem, do wyraźnego określenia własnej tożsamości.



29 marca 2010

Zastanawiam się nad tym, co napisałem. Trzeba mocno podkreślić, że poszukiwanie własnej tożsamości traktuję jako konieczny warunek nawiązania relacji z otoczeniem. Ze swoimi, czyli ludźmi tej samej kultury, tworzącymi ze mną ten sam system społeczny. Dzięki tej świadomości mogę uczestniczyć w formowaniu wspólnoty. Dzięki niej mogę we wspólnocie zajmować pozycję outsidera, mogę się nawet izolować dzięki temu, że istnieję i odczuwam wspólnotę. Moja tożsamość, świadomość zakorzenienia, pozwala mi na relacje z



Innymi, z ludźmi odrębnych kultur. Rozumiem ją jako zdolność przekazania im komunikatu o sobie i mojej wspólnocie, zarazem zdolność do przyjęcia takiegoż komunikatu. To stwarza możliwość dialogu. Jednak o występowaniu relacji dialogicznej między ludźmi nie rozstrzyga uzdolnienie, potrzeba wiele więcej. Ale określenie siebie i świadomość zasobu do przekazania jest koniecznym warunkiem zaistnienia relacji dania siebie innym w słowie. To dla mnie ważny temat, ale poprzestanę na tym odsyłając do autorów,

którzy mnie inspirują (Grygiel, Tischner, Panikkar, Morin, Ellul). Utrzymuję dalej, że ta zdolność do określenia się wobec ludzi i świata ma zasadnicze znaczenie dla naszej

problematyki. Tam bowiem, gdzie występują granice cywilizacyjne, pewność swej tożsamości warunkuje spotkanie. Ale czy to przekonanie wystarczy?

W naszym projekcie zamierzamy postawić sobie trudne pytania o tożsamość, a zwłaszcza o możliwość tworzenia wspólnot. W tym zadaniu kryje się poważna trudność, którą najczęściej pomijamy w naszych debatach intelektualnych. Poruszamy się we wspólnym nam obszarze doświadczeń, w jednej zrozumiałej narracji. Mamy świadomość powstających w efekcie ograniczeń, ale alternatywą wydaje się rozpad komunikacji. Chcemy się porozumiewać, to jest także pozostawać w sporze, ale to oznacza akceptację języka, jaki ukształtował się w świecie nauki. Świat pojęć nas więzi, ale wydaje się jedyną szansą przekazania sobie czegoś, co uważamy za istotne.

Nacisk położony na własną tożsamość jest uzasadniony przekonaniem, że w podjętym projekcie istotną rolę odegra refleksja o naszych własnych postawach. Wobec Swoich, Innych i Obcych. Zawsze podkreślam znaczenie autorefleksji, ale szczególną rolę przypisuję jej wtedy, gdy rozważamy zagadnienia komunikacji. Refleksje o własnych postawach, zachowaniach i odczuciach odegrają znaczącą rolę, gdy zdecydujemy się podjąć zagadnienie transferu doświadczeń. A to będzie zasadniczy obszar naszych poszukiwań.

2 kwietnia 2010

Zależy mi nie tylko na zrozumieniu procesu powstawania i utrzymywania się takich więzi między ludźmi, które kształtują wspólnotę narodową. Zastanawiam się także nad możliwościami i konsekwencjami przekazywania doświadczeń pomiędzy takimi wspólnotami. Uważam, że przekaz doświadczeń między wspólnotami jest procesem przekraczania granic. Dzieje się to w dowolnych okolicznościach kontaktu, podboju, eksploatacji, spotkania. Czy jednak wyłącznie wtedy? Podkreślam, że w relacjach następuje przekaz doświadczeń nagromadzonych w postaci kultury. Rzecz w tym, jakie są następstwa tych transferów. A jeszcze zastanawiamy się nad wpływem okoliczności, jakie towarzyszą przekazywaniu informacji. A także jakie były czy są nie zamierzone konsekwencje transferów. Szczególną wagę przypisuję zjawisku nazwanemu opresją cywilizacyjną, o czym szerzej piszę w książce *Silent Intelligentsia*. Chcę powiedzieć, że rozpatrywać powinniśmy nie tylko stany związane ze świadomym dążeniem do przekazania Innym naszego doświadczenia. Także konsekwencje niechciane czy nieprzewidziane. Rozróżniając przy tym przekazanie mające na celu podporządkowanie od wszelkich innych postaci wymiany. W konwencji właściwej dla badań ekspansji uwagę skupia transfer wymuszony, w kategoriach postkolonialnych rozpatrujemy raczej reakcję wspólnot podporządkowanych. W naszym badaniu zwracamy uwagę na szczególną postać transferu wynikającą z poszukiwania wzorów poza przestrzenią dominacji/podległości. Staram się wykazać, że sięganie po doświadczenie, przejmowanie wzorów, poza układem bezpośredniej dominacji, nie gwarantuje powodzenia. W sensie takim, że nie wyklucza kolonializmu. To właśnie pokazuje doświadczenie polskie XIX/XX stulecia.

Co z tego wynika? Najpierw trzeba byśmy dostrzegli, że nasze własne postępowanie, praktyka badawcza, wysiłki poznawcze i trud pokonywania ograniczeń, stanowią istotną część zasobu danych, które powinniśmy poddać analizie. Następnie potrzeba nam sumiennego wglądu we własną tożsamość, rozpoznania zasobów własnej kultury. Dopiero wtedy moglibyśmy się zająć kwestią możliwości przekazywania i pozyskiwania, przydatnością i ograniczeniami, zasobów uznawanych za istotne dla formowania i utrzymania więzi społecznej. Z tych zastrzeżeń można wyprowadzić przesłanki dla określenia warunków transferu następujących poza przestrzenią ekspansji i dominacji. O ile takie przestrzenie realnie występują.

12 kwietnia 2010

Miałem zamiar kontynuować to pisanie w czasie świąt, ale czas okazał się mało sprzyjający. Uwagę skupia Zmartwychwstanie, potrzeba osobistego zmierzenia się z tym faktem. To ma związek z moją tożsamością. To jest związane z dziedzictwem mojej kultury. Wreszcie trudno mi ująć wymiar cywilizacyjny w oderwaniu od tego podstawowego faktu, że Chrystus umarł, Chrystus zmartwychwstał, Chrystus powróci. Nie można udawać, że ten wymiar nie istnieje, zapominać, że wpływa bezpośrednio na moje rozumienie kwestii tożsamości. Nie należy ukrywać, że to osobiste przekonanie wpływa także na pojmowanie i wyrażanie podjętego przez nas zagadnienia. Próba odizolowania tej sfery od języka nauki, próba wypowiedzenia się w kategoriach kodu intelektualnego, wcale nie ułatwia zadania. Kod ten jest również częścią cywilizacji europejskiej i narzędziem dominacji. A nam chodzi przecież o poszukiwanie przestrzeni dialogu.

Przed ponad trzydziestu laty padły w Warszawie słowa mające siłę gromu. W słynnej homilii na Placu Zwycięstwa w dniu 2 czerwca 1979 roku papież Jan Paweł II powiedział: „Nie sposób zrozumieć tego narodu, który miał przeszłość tak wspaniałą, ale zarazem tak straszliwie trudną – bez Chrystusa.” Zacytowałem to zdanie we „Wstępie” do *Historii Polski* wydanej w Paryżu w 1986 roku, a więc poza zasięgiem cenzury (s.12). Pamiętam, ile to wzbudziło kontrowersji! Szykując w 2003 rosyjską edycję uznałem, że „Wstęp” należy napisać na nowo. Nie było w nim potrzeby tak emocjonalnych deklaracji. A jednak myślę, że wyrażone wtedy poglądy pozostają aktualne także dzisiaj. Właśnie w związku ze stawianymi sobie obecnie zadaniami. Należy przynajmniej podjąć próbę uświadomienia sobie wpływu owego wymiaru na kształtowanie okoliczności dialogu. Wspomniany tekst (sygnowany *od autorów*, ale mojego pióra) jest umieszczony na stronie internetowej IBI – na razie tylko w wersji oryginalnej.

13 kwietnia 2010

Te wątpliwości powstały oczywiście pod wpływem emocji, jakie wzbudziła katastrofa pod Smoleńskiem.

Wydaje się konieczne wskazanie także na to, jak emocje kształtują moje myślenie o naszym zadaniu. To znaczy, trzeba zapytać: w jakim stopniu polski patriotyzm wywiera wpływ na dziedzictwo. A zwłaszcza na zdolność jego przekazania. Czy mamy traktować emocje jako ograniczenie, czy też dostrzegać w nich użyteczny stymulator procesów przekazu? Jak mam pisać o polskiej tożsamości w kontekście śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego?

Wydaje mi się, że najważniejszą przesłanką będzie zwrócenie uwagi na możliwość wpływania emocji na komunikację społeczną, na zdolność do przekazywania doświadczenia. W przeszłości kładłem nacisk na słabnącą więź narodową a w konsekwencji na utrudnienie procesu określania własnej przynależności cywilizacyjnej Polaków (poświadczają to teksty zgromadzone w zbiorze *Ekspansja, kolonializm, cywilizacja*, 2008). Dzisiaj skłaniam się do korekty, w tym sensie, że ładunek emocjonalny może okazać się twórczy w budowaniu więzi między narodem i państwem. Byłaby to ważna okoliczność w rozważaniu kolonialnych aspektów naszego dziedzictwa a więc i zdolności do „oferowania” własnych doświadczeń w dialogu.

19 kwietnia 2010

Rozważając okoliczności formowania i wyrażania mojej tożsamości chcę skupić uwagę nie tylko na zagrożeniach, jakie dostrzegam współcześnie dla więzi narodowej. Jestem

oczywiście przeświadczony, że dalsze badania nad procesem formowania się narodu mogą się okazać użyteczne dla refleksji o jego trwaniu. Pozostają przy tezie o związku zachodzącym między procesem przyjmowania świadomości narodowej a zdolnością do wybierania przynależności europejskiej. Otwieram jednak przestrzeń refleksji nad okolicznościami formowania się nowych transformacji. Nasz system społeczno-kulturowy (w tym naród jako element jego struktury) był od bardzo dawna silnie obciążony niezdolnością do autonomicznych kreacji zasad dokonywania koniecznych przekształceń. To skłania do rozważań nad kolonialnym aspektem procesu. Teraz do czynników politycznych i ekonomicznych wypada dodać czynnik emocjonalny. Miał on swój wpływ, gdy wspomnianego 2 czerwca został wezwany do zstąpienia Duch. Nie można lekceważyć wpływu emocji na próby podejmowania autonomicznych transformacji w okresie pierwszej Solidarności. Dostrzegałem jednak blokady i ograniczenia. Dziś szczęśliwie nie jesteśmy ograniczeni, dysponujemy swoimi decyzjami i wyborami, możemy przyjąć za nie odpowiedzialność. Nie wykluczam wpływu emocji na ukształtowanie nowych transformacji w Polsce. To zaś skłania do dalszego pogłębienia zestawu pytań, jakie należałoby postawić przed naszymi próbami zbadania perspektyw dialogu między ludźmi różnych cywilizacji.

26 kwietnia 2010

Piszę po pogrzebie Janusza Krupskiego, jednej z ofiar katastrofy z 10 kwietnia. Był to prawy i odważny człowiek, patriota integralny, od młodości zaangażowany w działania budujące tożsamość Polaków. W latach siedemdziesiątych jeden z twórców wydawnictwa Spotkania, w którym w 1986 wydaliśmy *Historię Polski*. Wracają do mnie wspomnienia emocji stanu wojennego, drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski, śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Tamte przeżycia zbiorowe ujawniały nasze zdolności do identyfikowania się ze wspólnotą narodową. Pamiętam jednak, że te spontaniczne i podniosłe demonstracje patriotyczne wzbudzały moje pytania, czy w ten sposób poświadczamy trwałość więzi narodowej? Czy zdolność do współczucia, okazanie zbiorowej identyfikacji, zapewnia o naszym istnieniu jako Polaków? Bo to więź uzdalnia wspólnotę do spełnienia w przestrzeni rzeczywistej zbiorowych projektów na przyszłość.

Zaniepokojenie o stan więzi narodowej było istotnym motywem wydania niezależnej *Historii Polski*. Pisaliśmy ją w latach 1984-1985, kiedy mój niepokój uzasadniały rozliczne wydarzenia i świadectwa świadczące o słabnięciu tej więzi. Dlatego uznałem za celowe przywołać tu „Wstęp” do tej książki. W następnych latach wyraziłem swój niepokój w kilku tekstach wygłaszanych i ogłaszanych gdzieś na obrzeżach jawności, w każdym razie poza zasięgiem cenzury (np. *Zagrożenia polskości* w ramach Konwersatorium historii kultury w parafii Św. Trójcy na Solcu w 1986). Niepokój był też przyczyną różnych zaangażowań. Wspominam o tym, ponieważ w tamtym czasie sądziłem, że emocje ujawniane w demonstracjach patriotycznych (a przecież i ja nie tylko w nich uczestniczyłem, ale je organizowałem) nie są tożsame ze świadectwami trwałości więzi narodowej.

Wspominając Janusza Krupskiego chcę podkreślić znaczenie związku zachodzącego między przeżyciem emocjonalnym a działaniem. W ten sposób uwydatniam znaczenie kształtowania więzi stanowiącej fundament wspólnoty. A więc, biorę pod uwagę także zbiorowe doświadczenie przekładania emocji wyrażających tożsamość na relacje strukturalne systemu społecznego. Identyfikacja tego doświadczenia ma zasadnicze znaczenie dla rozważanego problemu transferu doświadczeń.

1 maja 2010

Identyfikacja ta nie jest sprawą tak oczywistą jak się wydaje. Staje się to oczywiste właśnie w czasie wzniesienia się fali emocjonalnej. Nie chodzi tylko o wspomnianą wątpliwość, czy zbiorowe podniesienie uczuć może posłużyć jako wskaźnik stanu więzi narodowej. To oczywiste, że bez uczuć (bez serc, bez ducha – rzekłby poeta) trudno sobie wyobrazić wspólnotę narodową. Wbrew wielu znawcom tematu naród nie jest ufundowany na kontrakcie. Ale też nie da się zbudować więzi, a tym bardziej jej utrzymać w trudnych czasach, tylko uczuciem. To miał moim zdaniem na uwadze Norwid, gdy się zżymał, że jesteśmy wielkim sztandarem narodowym a żadnym społeczeństwem. W każdym razie, gdy ujawniają się emocje bardzo potrzeba cierpliwego rozsądku. Nie podobna bowiem prowadzić badań w atmosferze nadmiernej ekscytacji, a tym bardziej pod napięciem powstającym w konsekwencji patriotycznej licytacji. Co podkreślam ze względu na konieczność przejścia do sprawy okoliczności, jakie towarzyszą transferom pomiędzy społeczeństwami.

Wielokrotnie stwierdzałem, że we wszystkich problemach tożsamościowych (czyli tam, gdzie w grę wchodzi istnienie systemu społecznego, a w szczególnym sensie jego trwanie) zasadniczą rolę odgrywa autonomia tworzenia i wprowadzania Nowych Transformacji. Mówiąc prościej chodzi o zdolność systemu społecznego (wspólnoty ludzkiej) do samodzielnego przekształcania informacji z otoczenia (przychodzącej czy pobieranej) w zbiór zasad decydujących o dokonywaniu zmian. Zmian o charakterze regulacji i adaptacji. Muszę to wyjaśnić bez względu na trudności wynikające z używanego języka. Samodzielne konstruowanie zbioru reguł kierujących procesami zmiany jest kluczem do traktowania systemu jako autonomicznego, czyli do postrzegania wspólnoty jako suwerennej. Zarówno w kształtowaniu tożsamości jak i jej obronie, społeczeństwa posługują się własnymi zasadami, czyli stałymi wzorami postępowania. Nazywam je Transformacjami. Gdy więc wspólnoty chcą lub muszą odwołać się do wzorów obcych, ważne jest czy mogą i potrafią postępować samodzielnie. Co to znaczy, samodzielnie? Mam na uwadze dobrze znany fakt przyswajania czyjegoś doświadczenia według zasad właściwych temu społeczeństwu. W zgodzie przyjętymi w nim wartościami. Nie jest dla społeczeństwa problemem szukanie nowych rozwiązań, tak by sprostać nowym wyzwaniom. Niczym dziwnym jest odwoływanie się do cudzych wzorów czy doświadczeń. Dla losu wspólnoty budowanie Nowej Transformacji wedle zasad zewnętrznych może się okazać sprawą zasadniczą. Jest ważne, czy zasady te zostały narzucone siłą, czy też tylko zapożyczono je bezwolnie. W każdym takim przypadku powstaje uzależnienie. Trzeba o tym zawsze pamiętać, gdy rozważamy okoliczności transferu doświadczeń.

6 maja 2010

Przekazywanie dowolnego zasobu między społeczeństwami związane jest z poważnymi naruszeniami struktur. Nic nie dzieje się bez konsekwencji. By to ogarnąć refleksją trzeba zauważyć charakter przestrzeni spotkania dwu systemów, rozważyć granice jakie mają do przekroczenia ludzie tworzący te wspólnoty. Zwracam też uwagę na, nazwijmy to, zawartość oferowanego czy przekazywanego zasobu. Mówiąc o tożsamości, czyż nie powinniśmy zauważać nacjonalizmu?

Nacjonalizm nie wydaje się być najlepszym produktem, jaki moglibyśmy oferować w spotkaniu. Ale nie możemy go nie brać pod uwagę. Musimy skonfrontować kwestię własnej polskości z wyrazem ideologicznym polskiej wspólnoty narodowej.

Trudno wejść w dowolną relację społeczeństwu bez tożsamości. Brzmi to dziwacznie, skoro brak tożsamości oznacza zwyczajnie nie istnienie. Wiemy o ryzyku, jakim jest narzucenie się Innym z własną tożsamością. Dostrzegamy też stan tożsamości nazwany przez nas dryfowaniem. Musimy zatem przyjąć dwa wstępne założenia. Najpierw o tym, że społeczeństwa objęte naszym badaniem występują realnie i potrafimy je zidentyfikować.

Następnie przyjmujemy, że społeczeństwa te nie należą do tego samego kręgu wytworzonego przez przynależność cywilizacyjną. Dodatkowo powinniśmy dostrzec, że dla prowadzonych rozważań ma znaczenie stan relacji tych społeczeństw z otoczeniem.

Eksponując własną tożsamość chcę wskazać, że Polska istnieje wyłącznie jako efekt woli ludzi identyfikujących się jako Polacy. Polska tożsamość narodowa nie jest wytworem nacjonalizmu i nie wywodzi się od istnienia państwa. Wola istnienia właśnie jako wspólnoty narodowej została potwierdzona w czasach, gdy państwo polskie nie istniało (w wieku XIX) i w warunkach zagrożenia jego egzystencji i suwerenności (w wieku XX). Doświadczenia z polskością należą do naszego (tj. polskiego), ale też nie naszego (czyli nie polskiego) zasobu używanego w formowaniu więzi, zasad transformacyjnych oraz wzorów relacji z Innymi. Z tej racji polskość jest ważna nie tylko dla Polaków (jako wyraz ich istnienia jako takich), ale też dla wielu Innych (np. jako element własnej identyfikacji narodowej). Z tego również powodu polska tożsamość narodowa wpisuje się w zasób cywilizacyjny Europy. Jest to szczególnie ważne w procesach formowania się Europy jako przestrzeni cywilizacyjnej na obszarach wschodnich kontynentu. Tu bowiem Polacy doświadczali własnej spójności w konfrontacjach ze wszelkiego charakteru Innymi i Obcymi. To właśnie doświadczanie należało do istoty określania przynależności cywilizacyjnej Polaków. To znaczy tyle, że swoją polskość uważali za tożsamą z europejskością. Nawiązując do wcześniejszej refleksji o transformacjach w tym właśnie wyrażała się samodzielność.

Zagadnienie to, czyli postacie identyfikacji narodowej w relacjach z Innymi oraz wybory cywilizacyjne jako formy kreacji Europy, ma znaczenie podstawowe w naszych dążeniach do określenia perspektywy spotkania międzycywilizacyjnego.

Dziś właśnie trzeba zwrócić myśl ku istocie naszych wyborów. Zaczynając od określenia, coż znaczy mój własny wybór Polski? Pozostawiam na boku ojczyźnianą idolatrię. Była ona zrozumiała w czasach rozpaczliwego braku nadziei na odzyskanie państwowości. W czasach trudnych, których nie brakło w wieku XX ocenianie mnie (czy kogokolwiek) przez przydatność dla Polski uważam za co najmniej ryzykowne. Tylko krok dzieli taką propozycję od nacjonalizmu, religii wynoszącej naród na ołtarz. Dziś właśnie należy się więcej uwagi moim wyborom. Czy swoim działaniem szukam Polski otwartej na wspólnotę wielu etni, wielu religii, wielu kultur? Czy moje działania ograniczam do Polski zamkniętej w wymiarze jednej etni, jednej religii, jednej kultury? Ta pierwsza to mój wybór dziedzictwa Rzeczypospolitej stanowiącej między Bałtykiem a Morzem Czarnym Europę swych czasów. Ta druga to moja zgoda na rzeczywistość PRL odciętą od Europy naszych czasów. Mocarstwowe fomy Jagiellońskich wizji przeciwko racjonalnej kalkulacji Romana Dmowskiego? Nie tylko. Wiek XX był czasem przyjmowania przez Polaków nowoczesnej, monochromatycznej postaci narodu. To ona oswoiła Polakom komunizm. Rządząca partia wkupiła się w Polskę pod kamuflażem narodowym. Wybory nie były takie trudne przed 25 laty jak są dziś. Polska pozostaje państwem suwerennym na tym samym terytorium okrojonym decyzjami zapadłymi w Teheranie i Jałcie. Ale stała się państwem, w którym decyzje o przyszłości podejmuje dziś suwerenny naród. I nie jest obojętne, co i jak wybierze ze swego dziedzictwa. Co ja wybieram.

7 maja 2010

Staram się zapisać coś istotnego o stojącym przed nami zadaniu. Widzę jego ogromną trudność. W dążeniu do sprecyzowania mojej myśli odrywam się od konkretnych zjawisk, kieruję w stronę abstrakcji. Tymczasem doświadczenie polskie w zakresie ukształtowania tożsamości narodowej, jej trudnych losów w ostatnich dwu stuleciach, jest zapisane w ogromnie bogatej historii. Jak ją przedstawiać? W jaki sposób wydobyć z narracji jakąś logikę systematyzującą? Nie mogę tu odwołać się do historii Polski w czasach rozbiorowych, w

epoce odbudowy państwa, w czasach katastrofy a wreszcie w epoce współczesnej. Doświadczenie, o które nam chodzi, jest zawarte nie tylko w historii. Ważne jest odczytywanie dziedzictwa i jego wykorzystywanie. Historia w danym przypadku to także czas przeszły wyliczony moją pamięcią. Można powiedzieć, że obejmuje czas do mojej pełnoletniości. Czyli do 1956 roku. Następne półwiecze to żywa pamięć a nie historia. Tymczasem w tym właśnie okresie miały miejsce procesy o decydującym znaczeniu. Były to konfrontacja z systemem totalitarnym, zagrożenie więzi, nagła zmiana przywracająca suwerenność i odpowiedzialność za państwo. To są istotne elementy doświadczenia wymagające opisu.

Współczesność, ta obejmująca ostatnie lat dwadzieścia i lat pięćdziesiąt, jest przedmiotem zainteresowania wielu nauk. Napisano o niej ogromnie wiele dzieł, z których tylko drobną część poznałem. Zasadnicze pytania nadal czekają na odpowiedź. To ośmiela mnie do szukania ich we własnym doświadczeniu. Czego szukam w historii, a co usiłuję odnaleźć w pamięci? Są to zjawiska i procesy decydujące o trwaniu. A zatem jak opisać strukturę polskiej wspólnoty narodowej? Co składało się i co tworzy zasoby doświadczeń decydujące o niezbędnych dla jej trwania regulacjach i adaptacjach? Jak ująć stosunek między polskim wyobrażeniem o zachowaniach społecznych a analizą tego zjawiska w kategoriach systemowych? Wszystko to oczywiście wymaga określenia własnej postawy wobec rzeczywistości jaką jest naród oraz wobec wyobrażenia o jego istocie. Można powiedzieć, że potrzebny jest obraz polskiego losu. Dopiero jego przedstawienie pozwoliłoby na wykreowanie czegoś na kształt interpretacji umożliwiającej bezpieczne przeniesienie naszych narodowych doświadczeń. Piszę ponieważ tylko w ten sposób potrafię myśleć.

8 maja 2010

Wracam jeszcze do kwestii ciśnienia wynikającego z podniesienia się fali emocji. Odnosi się wrażenie, że towarzyszy temu polaryzacja postaw wobec narodu. Nagle staje przed nami wizja Polski podzielonej między patriotów o przeciwstawnych znakach. Zaczyna się już nie tylko licytacja uczuć, ale wręcz konfrontacja postaw. Za chwilę usłyszę, że istnieją dwie Polski. Skrajne postawy sprowadzone do karykatury wywierają rodzaj moralnego szantażu. Tradycyjny patriota (*Święta miłości kochanej Ojczyzny...*) jakim się czuję staje bezradny wobec wykluczających się opcji i eskalujących oskarżeń. A przecież nie może pozostać obojętny. Mam na to dwie propozycje postaw. Najpierw warto przypomnieć, że skrajne czy konfrontacyjne postawy wobec polskości nie są niczym nowym. Można by nawet dowodzić, że należą do powszechnego zestawu emocji towarzyszących objawieniu tożsamości narodowej. To przecież skłania wielu do odrzucania koncepcji tożsamości jako postawy wykluczającej. Jest druga racja, by te radykalne przeciwstawienia potraktować wyrozumiale. Pisząc przed ćwierć wiekiem o zagrożeniach polskości wskazałem na budzący niepokój brak sporu. Polskość w ciągu pokoleń budziła spory i swary. Spór z Polską należał do zasadniczych postaw. Bo rywalizacja o kształt Polski, czyli o to jakie będzie ułożenie życia we wspólnocie, to tylko jeden z aspektów bycia wspólnotą. Aspekt naturalny, choć jak każdy konflikt niosący zagrożenia. Inną natomiast sprawą jest wadzenie się z Polską. Zawsze było szczególnie wyraziste wśród twórców, którzy od czasów niewoli przyznawali się do duchowego przywództwa w narodzie. Uznałem, że zanik tego sporu, brak namiętności w relacjach z Polską, wskazuje na osłabienie tożsamości. Obojętność wobec polskości wydawała się wskazywać na rozpad więzi narodowej. Obecna faza nasilenia emocji może zatem powinna być odebrana pozytywnie? Spór z Polską jest świadectwem naszej siły. Rywalizacja o Polskę to część naszego losu. Ważne więc, byśmy w tych konfrontacjach Polski nie zgubili.

11 maja 2010

Ciśnienie okoliczności jest bardzo wyraźne i chciałbym się już od niego wyzwolić. Jest to o tyle trudne, że to emocje zwracają uwagę na rozbieżności w ujmowaniu polskości. Wynikają z tego kontrowersje co do zasobu stanowiącego o tożsamości. Mówiąc krótko, spieramy się o polskość pojmowaną jako dowolnie konstruowany zestaw cech czy właściwości. Tymczasem problem tkwi w pytaniu, jakie mianowicie zmienne można uznać za konieczne i wystarczające dla identyfikacji Polski jako narodu.

* Blog prowadzony w 2010 r. na stronie „Drifting Identity”